

Marcin Owsiniński

**PROFESOR JAN SZILING
- WSPOMNIENIE,
CZYLI „CHŁOPCZE, DASZ RADĘ!”**

Trudno jest opisać tak nieszablonowego i dobrego człowieka, jakim był prof. Jan Sziling. Można czynić to za pomocą naukowych wykazów i charakterystyk, chronologii i biografii, co też próbowałem zrobić¹, wydaje mi się jednak, jako jednemu z Jego licznych uczniów, że wspomnienie to powinno mieć przede wszystkim faktor osobistych epizodów i wspomnień, które najlepiej oddają, kim był nasz Profesor i Szef. Historycznie bowiem wszyscyśmy z Niego, a historia to ciąg zdarzeń, które dzieją się między konkretnymi ludźmi. Myślę też, że i On wspominał nas z tych licznych, przede wszystkim dobrych i pozytywnych, wydarzeń i epizodów, które mieliśmy wspólnie, a pamięć do zdarzeń i ludzi Szef miał naprawdę świetną.

Przygoda z historią najnowszą była dla mnie na studiach pierwotnie dużym rozczarowaniem. Idąc na studia do Torunia (1994), od razu wiedziałem, że chciałbym zajmować się dziejami obozu Stutthof, gdzie mieszkałem i wciąż mieszkam. Chciałem dalej zawodowo poznawać dzieje mojego miejsca i regionu. Dzielnie i raczej udanie zaliczałem zatem na tej drodze kolejne epoki historyczne i dziedziny wiedzy, czekając na te ostatnie zagadnienia. Tymczasem w 1997 r. seminarium u Profesora dla naszego roku (magisterium 1999) nie było planowane. Nie było do wyboru takiej tematyki i grupy, która obejmowałaby wojnę i niemiecką okupację Pomorza. To wtedy pojawiło się rozczarowanie, jednak w tym samym czasie pojawił się też w moim życiu Profesor. Poszedłem do Niego i opowiedziałem o sobie i o tym, co chciałbym robić. Znał Stutthof badawczo, był też w kontakcie z ówczesnymi pracownikami naukowymi i dyrekcją Muzeum Stutthof (był wiele lat członkiem rady Muzeum Stutthof). To była moja pierwsza i bardzo dobra rozmowa z Profesorem. Obiecał, że postara się coś zrobić w sprawie, tym bardziej że miał jeszcze jedną lub dwie potencjalnie zainteresowane osoby z tego rocznika (jedną z nich była Katarzyna Minczykowska, którą polecił do pracy w Fundacji prof. Zawackiej).

¹ M. Owsiniński, *Prof. dr hab. Jan Sziling (1939–2023) – wspomnienie*, *Rocznik Toruński*, t. 50: 2023, s. 353–357.

Profesor, jak zawsze, dotrzymał słowa i stworzył z trzech osób z naszego rocznika specjalne, „nadliczbowe” seminarium, którego formalnie nie było w planie zajęć. Ponieważ formalnie nie istnieliśmy, najpierw uczestniczyliśmy w spotkaniach seminarium starszych roczników, a kiedy w kolejnych latach starsi odchodzili, dołączono nas do młodszych od nas (była wśród nich wówczas m.in. Sylwia Grochowina). W ten „prześciowy” sposób przez 2 lata nasza mała grupa robiła najpierw za zupełnych żółtodziobów, obserwując zaawansowany sposób prowadzenia zajęć na etapie pisania prac, a potem za stare wygi, które prezentowały się zawodowo młodszy. Zdobytego w ten sposób nadzwyczajnego pod względem warsztatu badawczego „obyicia” nikt nam nie odbierze.

Profesor poświęcał uwagę każdemu seminarzyście. To wtedy nauczył nas ważyć słowa, analizować dokładnie źródła i unikać błędów stylistycznych, interpunkcyjnych, czy języka potocznego. Słynna była jego odpowiedź na często używaną w pracach frazę: „Jak wiemy...”, która zawsze brzmiała: „Ja nie wiem!”. Ta Jego specyficzna szkoła warsztatowa charakteryzuje Jego uczniów, którzy zdecydowali się kontynuować pracę naukową w zawodzie historyka. Do dziś, jak wspominać w rozmowie, że moim promotorem był Jan Sziling, dla ludzi nauki oznacza to przede wszystkim solidność warsztatu i poważne spojrzenie na pracę historyka. Do dziś też pamiętam Jego słowa, że „Dobry dzień jest, jak napiszesz dwie dobre strony. Ilość nie zawsze przechodzi w jakość”. Tego określenia, czym jest dobry dzień, trzymam się nie tylko naukowo, do chwili obecnej.

Jako grupa dołączana do innych seminariów mieliśmy okazję poznać wiele starszych i młodszych koleżanek oraz wielu kolegów. Najważniejszym wydarzeniem, jakie zapamiętałem z tego czasu, był wspólny kilkudniowy wyjazd z Profesorem do Sztutowa na studyjne zwiedzanie Muzeum Stutthof. Nasz Szef bez problemu zgodził się na moją propozycję zorganizowania takiego wyjazdu. Było nas 12. To nie był zwykły wyjazd. Jako przewodnik oprowadziłem grupę po terenie, zobaczyliśmy także dogłębnie archiwum i zbiory, które na co dzień są niedostępne. Ważne było też to, co było po zwiedzaniu, czyli wspólne rozmowy, integracja, czy „wieczór rybny”, który cała grupa spędziła w moim domu, gdzie moja bardzo przejęta mama przygotowała poczęstunek dla studentów i (przede wszystkim) Profesora. Zachowało się chyba tylko jedno (analogowe) zdjęcie z tej wyprawy. Była jeszcze zima, stoimy na zaśnieżonej plaży i wszyscy, łącznie z Szefem, mamy bardzo uśmiechnięte oblicza. To wspomnienie dość często do Niego wracało, kiedy wiele lat później się spotykaliśmy i rozmawialiśmy.

Chociaż byliśmy niewielką seminaryjną grupą, to jednak bardzo zgraną. Każdy z nas napisał i obronił pracę w terminie. Moja obszerna źród-



Fot. 1. Seminarium nad morzem

łowa praca pt. „Polscy więźniowie polityczni w obozie Stutthof”, która powstała dzięki opiece Profesora, została nawet dostrzeżona i otrzymała nagrodę Fundacji Elżbiety Zawackiej w konkursie na najlepsze prace dotyczące Pomorza i konspiracji i została wydana drukiem w 2001 roku. Wtedy rzeczywiście po raz pierwszy, dzięki Szefowi, pewnie zacząłem stąpać po zawodowej drodze.

Po studiach widywaliśmy się kilka razy do roku na różnych konferencjach, czy w czasie moich wyjazdów do Torunia i na UMK. Profesor od początku namawiał mnie na kontynuowanie pracy naukowej. Nie liczę, ile razy do mnie mówił: „Chłopcze, zrób doktorat, dasz radę”, co było bardzo motywujące i było podstawą do kontynuowania własnych badań.

Nie wymienialiśmy listów, przez długi czas Szef miał tylko telefon stacjonarny, numer komórkowy miał stosunkowo niedługo, ale jak już go miał, to potrafił zadzwonić bez okazji i zapytać, co nowego. Cały czas starał się mieć kontakt ze swoimi wychowankami, znał nasze rodziny, życie zawodowe, cieszył się sukcesami, pomagał w trudnościach. Dodał siły, pomagał, gdzie i jak mógł na zawodowych (i nie tylko) zakrętach życia. Myślę, że sami czasem nawet nie wiemy, gdzie i kiedy miał pozytywny wpływ na wydarzenia z naszego życia, życia swoich wychowanków. Paradoksalnie był znany z tego, że nie było go widać. Działal, a nie mówił o tym.

Kiedy w końcu po zakończeniu innych życiowych zadań podjąłem się w 2010 r. pracy nad doktoratem, był moim pierwszym doradcą i recenzentem. W sumie to maszynopisy wszystkich moich najważniejszych

książek najpierw czytał Szef, a potem dopiero żona. Pamiętam, jak po zakończeniu pisania rozprawy najpierw do niego zadzwoniłem z pytaniem, czy mogę przesłać obszerny maszynopis, jak podał mi prywatny adres do korespondencji, a potem jak czekałem na Jego odpowiedź. Zaprosił mnie do siebie do domu. Siedzieliśmy przy herbach w Jego gabinecie, a on strona po stronie przerzucał tekst i omawiał swoje naniesione dopiski, kropki, przecinki, zmiany stylistyczne i uwagi do przypisów. Nie zapomnę z tego dnia Jego uwagi rzuconej mimochodem przy jakimś zdaniu, które mu się spodobało: „Nie, no umie Pan pisać”. To była Jego pochwała dla mojej pracy. Poczulem się wtedy wewnętrznie dumny i spełniony. Do dziś mam ten maszynopis z Jego odręcznymi zapiskami na marginesach, czynionymi ołówkiem, z bardzo charakterystycznym pismem.

Pracę broniłem w 2015 r. Szef formalnie nie był jej recenzentem, jednak od początku do końca był ze mną. Mój promotor zapytał mnie na etapie składania pracy: „Profesor Sziling czytał?”, kiedy potwierdziłem, że tak i że nanieśliśmy wszystkie uwagi od Niego, uznał, że może ją przekazać bez wątpliwości dalej. Profesor jako opiekun, to była po prostu wysokiej klasy firma. Wszystkie recenzje i sama obrona były bardzo pozytywne. Szef nie lubił publicznych uroczystości i zebrań, znany był z tego, że ich bardzo unikał. Czułem się bardzo wyróżniony, kiedy był na mojej obronie i wraz z moją rodziną spędził dłuższy czas po niej na okolicznościowym obiedzie. Wiem, że był to bardzo duży ukłon w moją stronę.

Nasze kontakty po doktoracie tylko się zwiększyły. Konsultowałem z Nim maszynopisy kolejnych książek i prac. Miałem satysfakcję, kiedy w kilku pozycjach udało mi się Go naprawdę zaskoczyć nowymi wynikami badań, czy innowacyjną formą opracowania. Rozmawiał wtedy z naukową ekscytacją i zaczął rzucać kolejne swoje, motywujące mnie, ale i trudne, zobowiązujące zwroty, w stylu: „Czas na habilitację”. Kilka razy potem, kiedy do niego dzwoniłem i mówiłem, że będę w Toruniu, zapraszał mnie i moją rodzinę na kawę i lody do któregoś z lubianych przez Niego miejscowych kawiarni przy rynku. Przychodził szybko, z dala wyróżniał się w idącym tłumie chodem i rozwianymi włosami. Był łasuchem, lubił dzieci, interesował się też naszymi sprawami zawodowymi i żywymi, trudno też nie wspominać Jego świetnego inteligentnego i dyplomatycznego poczucia humoru.

W grudniu 2019 r., w 80. rocznicę urodzin Szefa, namówiłem moje były seminarijny koleżanki, czyli dr Katarzynę Minczykowską-Targowską i prof. Sylwię Grochowinę do zaskoczenia Szefa niespodziewaną wizytą. Był uprzedzony, że przyjdzie do Niego Sylwia w „normalnej” sprawie, nie spodziewał się nas wszystkich z kwiatami i czekoladkami.

Trudno zapomnieć Jego uradowany wyraz twarzy i słowa, kiedy usiadł z nami przy herbacie i ciastkach. Był już wtedy od dawna na emeryturze, kończył też kilka ostatnich zagadnień naukowych, wiadomo było, że zdrowie czasem mu już nie dopisuje. Trudno zapomnieć, jak siedząc i patrząc na naszą trójkę nasz Szef powiedział, wspominając dość liczne grono swoich wszystkich uczniów: „Miło patrzeć na was i mieć świadomość, że wam się w życiu dobrze ułożyło”. Mówił do nas z perspektywy całego swojego udanego życia, z satysfakcją wychowawcy i mentora. Wspomnienie tego spotkania to dla mnie osobiście bardzo duże zobowiązanie.

Ostatnie lata moich spotkań z Profesorem to wspaniała wymiana naukowych opinii na temat mojej pracy o pierwszym procesie stutthofskim. Zaakceptował bez uwag strukturę pracy, a potem wnikliwie czytał dwie wersje maszynopisu, gdzie odnosiłem się do Jego uwag. Kilka razy byłem u Niego w domu, gdzie prowadziliśmy naukowy dialog o tezach książki, czy też materiale źródłowym. Kiedy otrzymał materiał po składzie, zadzwonił i uprzedził, że z racji zdrowotnych, przejrzenie tego zajmie mu kilka tygodni. Paczkę z maszynopisem otrzymałem tydzień potem. Przeczytał i powiedział wtedy przez słuchawkę: „To świetna praca. Napisał Pan książkę, która nie ma odpowiedników w dotychczasowej historiografii tematu”. Czułem się tego dnia spełniony jako „dojrzały” historyk.

Książka *Lagrowi ludzie* ukazała się w końcu 2022 r. Pierwszy egzemplarz, jaki otrzymałem z drukarni, wysłałem Szefowi w prezencie pod choinkę. Oddzwonił i podziękował, przyznając, że wyszło w całości w formie i treści bardzo dobrze. Zaprosił do siebie do Torunia na świętowanie wydania tej publikacji, po tym jak poczuje się lepiej, gdyż jak sam przyznał, na razie musi nieco odpocząć. Potem, w marcu 2023 r., przysłał jeszcze SMS z usprawiedliwieniem, że tekst, który miał dostarczyć do nowego numeru „Zeszytów Muzeum Stutthof”, musi jeszcze poczekać z racji Jego złego samopoczucia. W tej formie zawieszenia naszych kontaktów, naukowych i osobistych, na chwilę, na kilka dni pozostanę już bez odzewu...

Pozostają wspomnienia, epizody, historie i my – historycy po szkole Szefa. Wszyscyśmy z niego. Był po prostu ciepłym, pozytywnym człowiekiem.

Marcin Owsiniński
Muzeum Stutthof w Sztutowie
marcin.owsinski@stutthof.org
ORCID: 0000-0001-6547-6876

